

Ostatni. Opowieść o Stanisławie Augustacie

Dlaczego ta powieść?

2/2024 Jan Maciejewski

Wtedy stało się wszystko. Te kilkadziesiąt lat, druga połowa XVIII wieku, było jak ustalenie reguł gry i ustawienie figur na planszy. W głowach filozofów decydowało się wówczas, kim jest człowiek. Encyklopedystów – czym jest wiedza. Polityków – jak daleko można się posunąć. Spomiędzy wszystkich wielkich sporów, jakie rozpalają dziś naszą wyobraźnię, nie da się wybrać takiego, który swoimi korzeniami nie sięgałby tamtego czasu. Czym jest naród i kto ma prawo do decydowania o jego losach? Czy historia się skończyła i dlaczego po raz setny musimy powtórzyć, że nie? Nawet spór o konsekwencje inwazji sztucznej inteligencji sięga swoim rodowodem tamtego czasu – oświeceniowego zredefiniowania pojęć „człowieczeństwo”, „mądrość” i „dusza”.



(Fot. Wikipedia)

Jeśli koniec może i powinien przeglądać się w jakimś zwierciadle, to tylko w początku. Tamta gra, z jej regułami, faulami i biorącymi w niej udział zawodnikami, na naszych oczach dobiega końca. To prawda, że z dotychczasowych pogłosek o śmierci Europy i Zachodu, jakie znamy, wszystkie okazały się mocno przesadzone. Ale każda kolejna staje się coraz bardziej wiarygodna. I to akurat niekoniecznie musi być okoliczność, która powinna nas przyprawiać o dreszcz przerażenia. Bo przecież tamta, podzielona na Wschód i Zachód (a nie jak dotychczas – Północ i Południe), Europa również narodziła się wtedy. I jak niemal wszystko inne – przyszła na świat przeciwko Polakom. Na pohybel i na złość nam. W tamtej grze została nam wyznaczona rola fragmentu planszy, jednego z pionków. Do stołu dopuszczano nas z rzadka, niechętnie i tylko czekano na pierwszą lepszą okazję, by ze stojącego przy nim krzesła przerzucić nas z powrotem na jego blat.

U nas wtedy również wszystko było pierwsze. Pierwsze zsyłki w głąb Rosji. Pierwszy taniec ambasadorów. Pierwsza tak gorąca polsko-polska nienawiść, której temperatura rosła równolegle do służalczości względem obcych sił. Pierwszy błysk złudzenia, że wystarczy być słabym, by jakoś się ostać na tym rządzonej przez coraz bardziej niezrozumiałe siły świecie. I pierwsza szaleńcza, piękna i skazana na porażkę próba powstania narodowego, jaką była konfederacja barska. Wtedy też po raz pierwszy patriotyzm zaczął się wyczerpywać w pustym frazesie, rozsmakowywać w nim i zaspokajać jego mglistą treścią. A najpopularniejszym paliwem do reformowania państwa zaczęła się okazywać ojkofofia – niechęć do wszystkiego, co polskie i własne. Jedni nie widzieli potrzeby, żeby cokolwiek zmieniać, drudzy – najchętniej zmieniliby wszystko. Zgolili na tyso sarmackie czuby, jak Piotr I ściął brody bojarom. Im dłużej czytam i myślę o tamtym czasie, tym wyraźniej widzę, że on dalej trwa. Że tamten okres – dekady agonii Rzeczypospolitej – jest jak mityczne wydarzenie, które powtarzamy i odgrywamy wciąż na nowo w jakimś hipnotycznym rytuale. Jedna zakłada modną francuską perukę i omdlewa z zachwyty, samą sobą cytując Woltera, drugi – podgala głowę i przywdziewa kontusz. I tak samo jak wtedy – do śmiertelnego tanga Rzeczypospolitej potrzeba tych dwojga.

To nieprawda, że stajemy się mądrzy po szkodzie. Ta uczy nas fatalizmu, nie reguł, według których naprawdę działa świat. A fakty są takie, że ścieżka prawdopodobieństwa, która prowadziła Rzeczpospolitą do przepaści, była nieprawdopodobnie wąska i kręta. Polska wcale nie musiała upaść – przeciwnie – zbieg niekorzystnych okoliczności przyprawia o ból głowy. Wszystko, co mogło pójść źle, poszło jeszcze gorzej. Ale możliwe – i według mnie prawdziwe – jest inne zdanie: nie „poszło”, ale my tak to poprowadziliśmy. Polacy chcieli (jedni mniej świadomie, drudzy – bardziej) upadku swojego państwa. I jest to tak makabryczna, a jednocześnie fascynująca zagadka, że nawet gdybym nie był Polakiem, chciałbym ją rozwiązać. Dlaczego naród może chcieć popełnić samobójstwo? Czemu sam zarzuca sobie stryczek na szyję i zahacza mijających go przechodniów, prosząc, by kopnęli stołek znajdujący się pod jego nogami? A kiedy za pierwszym razem się nie uda, dopomina się o pchnięcie nożem. I potem jeszcze składa gorącą prośbę o odrąbanie mu głowy. Bo do trzech rozbiorów sztuka.

Dlaczego pewna grupa ludzi uznała, że lepiej im będzie na świecie, kiedy przestaną być Polakami? Gdy zniknie państwo, a wraz z nim cały system symboli i znaczeń, porządkujący dotąd ich życie. Wygaśnie – nie tylko przecież dla nich, ale także dla ich dzieci i dzieci ich dzieci – jakieś powołanie. I czemu ich antagoniści, pozornie stając z nimi do walki, robili tak naprawdę wszystko, żeby ten zamiar (plan, marzenie) zrealizować? Kiedy teraz, w pierwszych dniach roku 2024 po narodzeniu Chrystusa i 229 po śmierci Polski, piszę te słowa, nie potrafię na to pytanie udzielić odpowiedzi. I właśnie dlatego powstaje ta opowieść.

Opowieść o Stanisławie Augustie Poniatowskim – człowieku żyjącym w czasie, kiedy wszystko było pierwsze. Tylko on był ostatni. Ostatni król Polski i ostatni z obywateli Rzeczypospolitej. Ten najmniej szanowany, najbardziej nienawidzony. Kim tak naprawdę był? Ciołkiem, zdrajcą, a w najlepszym wypadku ofiarą okrutnego losu czy obywatelem wieku światła rzuconym w polskie błoto, europejską perłą ciśniętą przed sarmackie wieprze? Jak mawiał klasyk – nie wiem, choć się domyślam. Ale to za mało. Chcę więc towarzyszyć mu w drodze do sypialni Katarzyny, gdzie rozerotyzowana Niemka wprowadzi niewinnego Stasia w arkana miłości, by przez resztę życia uczyć go sztuki dużo bardziej gorzkiej. Muszę być z nim na paryskich salonach i w petersburskich pałacach. Przyglądać się jego drżącym kolanom, gdy na głowę spadać mu będzie korona. Być tuż obok, gdy w jego stronę polecą obelgi i oskarżenia o zdradę. Zaglądać mu przez ramię w tę noc, kiedy na jego biurku leżał do podpisania akt pierwszego rozbioru. Być z nim wszędzie – także w rzadkich chwilach chwały, jaką opromieniały go towarzystwo postępowych myślicieli i piękniejąca pod jego ręką (i przy okazji zadłużająca się wraz z nim po uszy) Warszawa. I wtedy, gdy unieruchomiony i zakneblowany leżał u stóp porywaczy.

Stanisław August jest kluczem otwierającym zagadkę naszej notorycznej podległości. Nie tylko przez to, kim był i co mu się przydarzyło, ale też kto go wówczas otaczał. Jego słabość (słabość rządzonej przez niego Rzeczypospolitej, którą jako król uosabiał) była mostem, na którym spotkali się rosyjska imperatorowa i pruski król. To ponad zgiętym karkiem Ostatniego ci dwoje podali sobie po raz pierwszy dłonie. O tym również będzie ta opowieść.

A dlaczego w odcinkach? Po pierwsze dlatego, że to stara i piękna tradycja polskiej literatury. A po drugie – z każdym tygodniem przekonuję się coraz mocniej, że nasza rzeczywistość jest tłem, dochodzącym wciąż do nas sprzed dwóch i pół wieku echem. Kolejnym wystawieniem napisanego wtedy, w XVIII stuleciu, dramatu. Zmienia się obsada, pojawiają się nowe dekoracje, ale fabuła i finał pozostają te same. Zamiast więc regularnie śledzić na ekranach telefonów i szpaltach gazet wieczną powtórkę z historii, można też – przynajmniej raz na tydzień – prześledzić ją wówczas, gdy wydarzała się po raz pierwszy. Jedyną metodą na przerwanie tego dramatu jest zobaczenie go z bliska – tak jak został napisany. Ale też – obraz utrzymany wyłącznie w ciemnych barwach przestaje być czytelny – spojrzenie na sposoby, po raz pierwszy wtedy wypróbowane, na które jednak próbowaliśmy pozostać przy życiu. Szalone, barwne i tragicznie piękne warianty oporu. Pierwsze samobójstwo Polski i jej pierwsza walka o życie. Bo wtenczas naprawdę stało się wszystko.

Autor Jan Maciejewski

Data 2/ 2024

Background Check

Więcej na: strategyandfuture.org